

## WSTĘP

Tadeusza Grzesika, plantatora truskawek spod Kielc, oskarżono i skazano za udział w dwudziestu zamachach na ludzkie życie. Tylko trzy osoby przeżyły spotkanie z nim i jego ludźmi. Żeby się nie pogubić w zdarzeniach, robię listę miejsc zbrodni i liczby ofiar. Po kolei wpisuję w kalkulatorze cyfry, po każdej naciskam znak plusa. Cedzyna – najpierw trzy zabójstwa, później dwa, w sumie pięć ofiar, inna miejscowość – kolejne dwa. Księgowa znaleziona w rowie, zastrzelony stróż, pobity kijami mężczyzna, inny porwany na oczach własnego dziecka. W Kraśniku i Sosnowcu strzały pod blokiem. Mężczyzna wracający do domu w Tarnowie, trzy osoby pod Przemyślem, dwie w Przeworsku. No i ten człowiek znaleziony w garażu w kałuży krwi, a jego żona z głową zmasakrowaną kostką brukową. I jeszcze ojciec i syn w Myślenicach.

Zdaję sobie sprawę, że zamieniam ludzkie tragedie w suchą statystykę, tak jak przez lata statystyką były kolejne zbrodnie, których sprawca pozostawał nieuchwytny. Inspektor Zdzisław Marek Szczekota, emerytowany już oficer operacyjny służby kryminalnej, mówi o czterdziestu. Tylu doliczyli się z kolegami. Było przecież jeszcze zabójstwo w Stalowej Woli, morderstwo mężczyzny, który zmieniał koło pod Tarnowem, zbrodnia z Dębicy, zwłoki pobitego i wepchniętego do studzienki kanalizacyjnej oficera Służby Bezpieczeństwa. Tych niewyjaśnionych spraw nie udało się jednoznacznie powiązać z Grzesikiem, ale bardzo prawdopodobne, że stał za nimi właśnie on. Ofiar mogło być jeszcze więcej, ale ich ciała zniknęły przysypane ziemią i dodatkowo dla pewności wapnem. Z upływem czasu zostały zapomniane.

Grzesik przez lata żył w ukryciu, pracując jako cyniel największej w regionie zorganizowanej grupy przestępczej. Szczegółowo planował napady rabunkowe na właścicieli kantorów. Był bezwzględny zabójcą, kończącym „robotę” uderzeniami krótkiego łomu, stalowej „breszki”, którą zawsze miał pod ręką. Zwykły, szary człowiek. Można rzec, że ktoś taki jak my. Po wszystkim wracał do rodziny: żony i dwójki synów. Zasiadał w skórzanym fotelu i oglądał telewizję. Kochał życie, przestrzeń wiejskich pól, jej swobodę i wolność. Bał się miast, zamkniętych przestrzeni, licznych ciekawskich oczu, które mogły coś wypatrzeć, zapamiętać i przywołać podczas przesłuchania.

W pobliskich miastach i miasteczkach żyli ludzie, którzy mieli pieniądze. Tadeusz Grzesik wiedział, jak im je odebrać. Przekonywali się o tym w ostatnich sekundach swojego życia. Jego wartość Tadeusz Grzesik wycenił na kilkadziesiąt, kilkaset tysięcy złotych, jakie przewozili w kieszeniach, plastikowych siatkach, skórzanych portfelach. Czasem jednak popełniał błąd. Niektórzy nie mieli przy sobie nic. Ich śmierć, nieprzynosząca mordercy żadnego zysku, była wpisana w ryzyko „biznesu” prowadzonego przez Grzesika.

Dlaczego przez kilkanaście długich lat mógł dokonywać kolejnych zabójstw, mimo że już po pierwszych trzech został wytypowany jako ich potencjalny sprawca? O wszystkim zdecydowała cena badań DNA. Organom ścigania zabrakło 6 tysięcy złotych. Tyle państwo polskie poskäpiło na wyjaśnienie śmierci trojga Ukraińców, którzy padli ofiarą Grzesika jako pierwsi. Zaoszczędzono kilka tysięcy kosztem kilkunastu ludzkich istnień. Prosty rachunek zysków i strat. Polska nie była w latach dziewięćdziesiątych krajem, w którym się przelewało, a już na pewno nie w budżetówce i nie w policji.

Tadeusz Grzesik nie żył w próżni. Nie wziął się znikąd. Przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych to czas gwałtownych, nieraz brutalnych przemian społecznych i ekonomicznych. Powstała wówczas pierwsza sieć kantorów Aleksandra Gawronika, który wkrótce został senatorem, a później wyładował w więzieniu. 4 czerwca 1989 roku odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory,

które zmieniły wszystko dla niektórych, dla innych nie zmieniając niczego. Rozsypywał się socjalizm, republiki radzieckie wybijały się na niepodległość, upadał mur w Berlinie – uruchomiła się machina politycznych zmian, wiał wiatr historii. W jej cieniu polska prowincja żyła własnym rytmem, kierując się od lat wypracowanym kodeksem. Zasadami, które pozwalały niektórym wymuszać na lokalnej społeczności bezwzględny posłuch i siac przerażenie. To spowodowało, że ludzie tacy jak Tadeusz Grzesik mogli bezkarnie działać przez ponad dwie dekady. Państwo z jego przestarzałymi strukturami, przystosowanymi do socjalistycznej rzeczywistości, nie było w stanie szybko zaadaptować się do realiów, w których przestępczość zorganizowana rosła na potęgę.

Życie Grzesika to historia „chłopców z ferajny” rozgrywająca się daleko od rewirów, na których operowały wielkie mafie – we wsiach Bliżyn, Górnio czy Wola Jachowa. Były to okolice, gdzie nikt nie zauważał hurtowo ginących ludzi, a popełniane zbrodnie niekoniecznie trafiały na szczyt listy priorytetów policji. Chłopcy ze Świętokrzyskiego nie paradowali obwieszeni złotem, nie jeździli za granicę, nie byczyli się na jachtach w towarzystwie długonogich piękności. Nie zostali sportretowani przez Patryka Vegę, nie napisano o nich książek. Można powiedzieć, że było to miarą ich sukcesu. Nikt o nich nie wiedział, nikt się nimi nie interesował. Ot, zwykli obywatele uprawiający swoje pola, prowadzący sklepy czy hurtownie, a w rzeczywistości bezwzględni „mordercy w gumiakach”,

śmiertelnie niebezpieczni, bardzo dalecy od wyobrażeń o zorganizowanej przestępczości.

Tymczasem ich świat był równie brutalny i przepelniony złem jak ten, który opisywano w mediach i popkulturze, gdy opowiadano o mafii pruszkowskiej. Tyle że tutaj za ostentację w wydawaniu pieniędzy otrzymywało się wyrok śmierci.

Penetrowałem ten świat przez lata, rozmawiając z uczestnikami wydarzeń i wertując akta czterech wielkich procesów wytoczonych Tadeuszowi Grzesikowi. Poznałem policjanta, który niemal całe zawodowe życie poświęcił ściganiu mordercy. Do dzisiaj żałuje, że nie udało mu się zatrzymać Grzesika wcześniej. Dla mnie była to podróż przez ocean podłości i targających ludźmi pokus: żądzy posiadania i chęci władzy jakże często postrzeganych jako działanie dla dobra swojej rodziny.

Swojej rodzinie dziękuję za cierpliwość i wyrozumiałość za czas, jaki poświęciłem jej kosztem na przygotowanie tej opowieści. Redaktorowi za pracę nad tekstem, celne uwagi i proponowane możliwości skrótów.

Gdy zgłębiałem przez lata tajemnice zbrodni popełnionych przez Tadeusza Grzesika, mogłem liczyć na pomoc wielu ludzi. Nie wszystkie nazwiska mogę wymienić, o innych mogłem zapomnieć. Wszystkim serdecznie dziękuję.



ROZDZIAŁ 1

**DOBRE WYKONANE ZADANIE**



Ostrów, wieś pod Przemyślem. Do świtu było jeszcze daleko – o tej porze roku rozwidniało się dopiero przed siódmą. Na okolicznych polach ścieliła się gęsta mgła. Był czwartek, 16 listopada 2006 roku.

Dochodziła piąta. W jednym z pokoi przylegających do garażu rozległ się dzwonek budzika. Antoni – szczupły, brodaty czterdziestopięciolatek – wstał i ubrał się. W łazience tuż przy pokoju umył twarz, następnie wyszedł przez garaż, aby zamknąć w kojcu pilnującego obejścia agresywnego wilczura.

Od dwóch lat mieszkał w domu swojego imiennika i pracodawcy. W zamian za mieszkanie i wyżywienie pomagał w gospodarstwie, opiekował się też hodowanymi przez właściciela końmi. Był samotnikiem, bezdzielnym kawalerem, wcześniej nadużywającym alkoholu – tak scharakteryzuje go później policyjny psycholog<sup>1</sup>.

W drugim pokoju spał czterdziestosześcioletni Dariusz, kolejny życiowy rozbitek. Choć miał żonę i dwójkę dzieci, również mieszkał w domu swojego szefa. Był to jeden z wymogów pracy u właściciela kilku przemyskich lokali i kantorów wymiany walut. Dariusz nie tylko pomagał w obejściu, rozwodził również walutę do kantorów. Kiedy zarządzający nimi biznesmen stracił możliwość prowadzenia interesu, Dariusz został jego nominalnym właścicielem.

Dzień wcześniej jak zwykle objechał wszystkie kantory. Utarg i gotówkę schował do torby i kilku szaszetek, a w domu oddał wszystko pracodawcy, który najprawdopodobniej ukrył pieniądze w domowym sejfie. Mogło tam być ponad 300 tysięcy złotych w obcej i polskiej walucie. Dariusz miesięcznie za swoje usługi otrzymywał 1000 złotych. To było jak na tamte czasy i region całkiem niezłe wynagrodzenie. Do tego dostawał przecież jeszcze posiłki i dach nad głową.

Tego dnia w domu przebywał właściciel Antoni, jego żona, jeszcze trzeci pomocnik oraz pochodzący z Holandii gość gospodarzy. Dwadzieścia minut po piątej rano Dariusz wewnętrznymi schodami wszedł z poziomu garażu na wysoki parter, gdzie znajdowała się kuchnia. Wchodząc, kątem oka zauważył otwarte drzwi garażowe i zapalone światło. Było jasne, że drugi pomocnik, Antoni, wyszedł już na zewnątrz.

W kuchni paliło się światło. Pan domu siedział przed laptopem, który szybko zamknął, kiedy usłyszał

wchodzącego do kuchni pracownika. Był po czterdziestce, średniego wzrostu, sprawny fizycznie i wysportowany. W młodości był murarzem, kierownikiem brygady remontowej i taksówkarzem. Handlował na bazarach i prowadził niewielkie lokale gastronomiczne. Na początku lat dziewięćdziesiątych otworzył swój pierwszy kantor. Interes szybko się rozwinął, co pozwoliło na kupno ziemi i wybudowanie domu. Razem z żoną wprowadzili się do niego przed świętami wielkanocnymi 2000 roku. Nie mieli wspólnych dzieci, jednak dom był zawsze pełen ludzi, ponieważ biznesmen jako niepijący alkoholik miał słabość do życiowych rozbitków. Dawał im szansę na zatrudnienie i poukładanie sobie życia. Rzecz jasna podstawowym warunkiem było powstrzymanie się od picia.

Mężczyźni przywitani się. Torba i saszetka z pieniędzmi leżały przygotowane na kuchennym stole. Antoni pierwszy wyszedł z domu, niosąc pieniądze w jednej ręce. Dariusz przytrzymał pracodawcy drzwi i wyszedł za nim na zewnątrz. Na dole przed garażem stał już zaparkowany jasnoszary mercedes S 220. Miał jeszcze niemieckie tablice rejestracyjne.

Było ciemno, schody oświetlała jedynie mała żarówka zapalona nad garażem. Antoni otworzył auto zdalnie, na tylnej kanapie położył torbę i saszetki z pieniędzmi. Dariusz usiadł na miejscu pasażera. Jak zwykle nie zapiął pasów – obaj tego nie lubili.

Miejsce kierowcy zamierzał właśnie zająć szef, kiedy nagle zza garażu wyłoniła się ciemna sylwetka. Siedzący

na miejscu pasażera Dariusz zobaczył przez zaparowaną szybę mężczyznę ubranego na czarno. Szeł znieruchomiał zaskoczony lub sparaliżowany strachem. Wtedy czarna postać zrobiła jeszcze dwa kroki i wymierzyła w kierowcę broń. Padły strzały. Za sprawą tłumika słychać było tylko głucho „puk”, „puk”.

Strzelający miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Dariusz zobaczył go wyraźniej, bo bandyta wszedł w krąg światła garażowej żarówki. Na głowie miał kominarkę, na dłoniach rękawiczki. Dlatego cała postać zdawała się być czarna niczym człowiek-cień.

Kiedy kierowca osunął się na ziemię, Dariusz zobaczył drugą ciemną postać, biegnącą w stronę auta. Pierwszy z napastników szarpnął za drzwi i wymierzył broń w Dariusza. Celował w klatkę piersiową. Mężczyzna wyskoczył jednak szybko z samochodu i zaczął uciekać w stronę garażu. Od przestępcy oddzielał go jedynie samochód. Na szczęście Antoni, który przed chwilą wyszedł z domu, zostawił otwarte drzwi garażowe. Nie oglądając się za siebie, Dariusz wbiegł do środka. Usłyszał podobne do poprzednich, zaskakująco ciche odgłosy wystrzałów.

Pobiegł na górę. Nie czuł żadnego bólu. Przez okno pokoju gościnnego zobaczył leżącego na ziemi pracodawcę. Napastników już nie było.

Dopiero wtedy zaczął budzić pozostałych domowników, głośno krzycząc. W komórce wybrał numer alarmowy 112, poinformował o zdarzeniu z użyciem broni.

„Strzelano do nas, przyślijcie karetkę, zawiadomcie również policję. Podaję adres: Ostrów, szybko!”

Żona wraz z mężczyznami, którzy przebywali tego dnia w domu, wybiegła na podwórko. Postrzelony leżał na wznak obok samochodu. Nie odpowiadał na ich rozpaczliwe pytania, ale Dariuszowi wydawało się, że w pewnym momencie kiwnął głową, więc nie był nieprzytomny.

Dariusz poczuł swędzenie w okolicy brzucha. Podciągnął sweter i koszulę, zobaczył dwa nieduże zaczerwienienia. Na kafelki garażu z cichym brzękiem upadł pocisk. Mężczyzna podniósł go i schował do kieszeni.

Po około piętnastu minutach obok posesji nieoświetloną drogą przejechał rozpędzony radiowóz, omijając w ciemnościach miejsce wezwania. Jeden z domowników pojechał więc samochodem za policjantami, żeby ich zawrócić. Jako pierwsza na miejscu była więc karetka pogotowia, której załoga przystąpiła do akcji ratowania Antoniego. Radiowóz dotarł na miejsce chwilę później.

Dariusz opowiedział policjantowi o postrzeleniu i przekazał zawinięty w chusteczkę pocisk. Dodał do tego również znaleziony w pobliżu cały nabój z łuską. W świetle latarek zebrani obejrzeni również dwa zaczerwienione ślady na brzuchu Dariusza. Detektyw pionu kryminalnego Komendy Miejskiej Policji zapamiętał, że napadnięty mówił nieskładnie, co chwila zmieniając nieco wersję.

Dariusz wreszcie przypomniał sobie o koledze, imienniku swojego szefa. Gdzieś musi tu być. „Wyszedł z domu pierwszy i od tej pory go nie widziałem” – powiedział detektywowi. Razem z policjantem minęli dom z wysokim gankiem. Weszli w głąb ogrodu, mijając zabudowania gospodarskie. We mgle majaczył budynek szklarni i stos równo ułożonego porąbanego drewna. Pierwszy szedł policjant, drugi Dariusz, oświetlając drogę latarką, za nimi detektyw z wydziału kryminalnego. Minęli zakratowany kojec, gdzie siedział zamknięty wystraszony wilczur. Nie czekał, kiedy wyczuł obcych. Ktoś w świetle latarki zauważył krwawy ślad niknący w ciemnościach. Policjant powiedział, żeby niczego nie ruszać, nie zacierać śladów. Tuż przy okalającej posesję drucianej siatce zauważyli leżący na ziemi kształt. Dariusz niepewnie poświecił latarką. Antoni leżał na brzuchu z rozłożonymi szeroko rękami.

Trzeba było wezwać drugą karetkę pogotowia, bo załoga pierwszej była zajęta ratowaniem życia właściciela posesji. Przed przyjazdem lekarza policjant próbował wyczuć puls Antoniego. Bezskutecznie.

Kolejna karetka błyskawicznie dotarła na miejsce. Kierowca wiedział, dokąd jechać. Właściciel kantorów był znaną w okolicy postacią. Majętny, ale otwarty na kontakty z ludźmi. Lekarz szybko stwierdził zgon jego pracownika. W świetle latarki widział zakrwawioną twarz mężczyzny. Dłonią w gumowej rękawiczce sprawnie wyczuł ranę w okolicach prawego łuku brwiowego.

Palcem badał jej regularne kształty. „Postrzał w okolice oka” – stwierdził, zwracając się do detektywa. Innych ran nie zauważył. Wokół oka brak było śladów osmalenia, które wskazywałyby na strzał z przyłożenia lub bardzo bliskiej odległości.

Lekarz obejrzał rany Dariusza. Był zdziwiony, że postrzały nie spowodowały poważniejszych obrażeń, a pocisk utknął w skórze nie przebijając tkanki. Jego zdziwienie było tym większe, kiedy policjanci powiedzieli, że zamachu dokonano z broni kalibru 9 milimetrów. Postrzelony powinien mieć rozległe rany brzucha, a pociski tkwić w narządach wewnętrznych lub przebić ciało na wylot. Ocalały był w niezłym stanie psychicznym, pozostawał zdolny do opisu zdarzeń. Powtarzał tylko, że gdyby nie otwarte drzwi garażu, to wszystko mogłoby inaczej się dla niego skończyć.

\*

Tego samego dnia w budynku Prokuratury Okręgowej w Przemyślu, z jednego z gabinetów dobiegał stukot klawiatury.

„Przemyśl, dnia 16 listopada 2006 roku. Postanowienie o wszczęciu śledztwa. Prokurator Stanisław Kalita po zapoznaniu się z materiałami w sprawie zabójstwa i usiłowania zabójstwa z użyciem broni palnej z motywów rabunkowych, w wyniku którego sprawcy zabrali gotówkę w kwocie co najmniej 300 tysięcy złotych,

wszczyna śledztwo w kierunku zabójstwa z użyciem broni palnej”<sup>2</sup>.

Rusza oficjalne śledztwo. Rodzą się kolejne wersje zdarzeń, które policja na bieżąco stara się zweryfikować. Śledztwo najczęściej zaczyna się od statystyk. Większość sprawców zabójstw to najbliżsi ofiary. W tym przypadku nic nie wskazywało jednak na udział osób bliskich. Świadkowie zapewniali o zgodnym pożyciu małżonków i to pomimo posiadania przez denata nieślubnej córki. Napad rabunkowy był najoczywistszą i najbardziej przekonującą wersją. Został przeprowadzony wedle przemyślanego planu, a sprawcy najwyraźniej znali tryb życia i zwyczaje napadniętych.

Kto udzielił bandytom informacji i wystawił właściciela kantorów? – zastanawiali się śledczy. W toku dochodzenia wykryto, że sprawcy przyjechali samochodem, zaparkowali go w pewnej odległości od domu ofiary, następnie przeszli przez okoliczne pola i dostali się na posesję od tyłu, przecinając siatkę ogrodzenia. Pierwszy musiał zginąć Antoni, który zamykał psa w jego kojcu. Dlaczego agresywny wilczur, jak mówili o nim domownicy, nie szczekał na obcych? Czy to możliwe, że ich znał? Czy mogła to być jedna z osób pomagających przy gospodarstwie, doglądająca hodowanych koni, biorąca udział we wspólnych wigiliach z domownikami? Początkowy etap postępowania to wiele zwykle bezsensownych pytań wynikających z często sprzecznych i wzajemnie wykluczających się informacji zbieranych przez sztab ludzi.

Policjanci nie mogli mieć też absolutnej pewności, czy zabezpieczone pięćdziesiąt metrów od obejścia ślady opon faktycznie pozostawił samochód należący do sprawców. Może zrobił je przejeżdżający radiowóz, może samochód mieszkańców jadących za radiowozem, który nie mógł trafić na miejsce napadu? Odpowiedź na te pytania wymagała czasu, analizy śladów i opinii biegłych.

Przy okazji sprawdzano interesy postrzelonego. Na terenie posesji znaleziono automaty do gry i papierosy bez znaków akcyzy. Czy była to zemsta współników w nielegalnych interesach? Może gość miał nieuregulowane długi? Pytania się mnożyły, a odpowiedzi trudno było ustalić.

Tymczasem po tygodniu walki o życie w szpitalu zmarł ranny właściciel kantorów.

Przesłuchanie jego żony nie wniosło do sprawy nic nowego. Mąż nie miał z pracownikami konfliktów, był skryty, nie znali rozkładu dnia męża. Jedynie Dariusz, najbliższy pomocnik szefa, wiedział więcej o trybie funkcjonowania zamordowanego. Dlatego dokładnie sprawdzano jego wersję. Dariusz uczestniczył także w wizji lokalnej, odtwarzając przebieg napadu. Na jego udział w zbrodni nie było jednak żadnych dowodów.

\*

Od tragicznych zdarzeń w Ostrowie upłynęły dwa tygodnie. Był pierwszy dzień grudnia, piątek.

Zygmunt, właściciel małego kantoru w Przeworsku, pracę rozpoczął o ósmej. Mężczyzna prowadził regularny tryb życia. Ponieważ nie miał prawa jazdy, do pracy przywiozła go partnerka Maria. Również ona przyjechała odebrać Zygmunta po całym dniu pracy. Kiedy wracali, zegar wskazywał siedemnastą. Tego dnia słońce zaszło półtorej godziny wcześniej. Było mgliście.

Zygmunt prowadził kantor wymiany walut w kilkunastotysięcznym Przeworsku od czternastu lat. Zbliżał się do sześćdziesiątki. Dwukrotnie się rozwiódł. Jego dorosła już córka mieszkała w Warszawie. Codzienny utarg zawsze zabierał ze sobą do domu, w znajdującym się w kantorze sejfie pozostawiając jedynie dokumenty. Pieniądże przenosił w kieszeniach kurtki lub marynarki. Zazwyczaj było to koło 50 tysięcy złotych. Minimalna pensja nie przekraczała wówczas w Polsce 900 złotych, połowa Polaków zarabiała pomiędzy 1200 a 1500. Na to, co „kantorowiec” Zygmunt codziennie przewoził w swoich kieszeniach, zwykły Polak pracował ponad trzy lata.

Maria kilka dni wcześniej skończyła czterdzieści dziewięć lat. Również była po dwóch rozwodach. Partnera odebrała swoim renault megane.

Obydwoje, jak stwierdziła policyjna profilerka, prowadzili uregulowany tryb życia i mieli ograniczone życie towarzyskie. Przed przyjazdem do domu zrobili jeszcze zakupy. O 17.21 kasjerka Jadźka ze sklepu Słoneczko, spożywczego marketu w Przeworsku, sprzedała im masło, cebule, paprykę, szproty, serek, karmę dla psa,

trochę kosmetyków. Zapłacili banknotem stużłotowym i dostali 38 złotych i 9 groszy reszty. Jadźka była ostatnią osobą, która widziała ich żywych. Nie licząc morderców.

Zygmunt i Maria mieszkali w nowym domu. To periferyjne osiedle domków jednorodzinnych. Otoczona drucianą siatką posesja znajdowała się na końcu osiedlowej drogi.

Następnego dnia policję zawiadomił przechodzący drogą mężczyzna. Zobaczył ciało leżące na posesji. Była 11.10 przed południem – zanotowano w dokumentacji. Zygmunt leżał na brzuchu, na podwórku pomiędzy domem a garażem. Pieniądzy, które woził przy sobie, nie było.

Ogłędziny i sekcja zwłok jako przyczynę śmierci denata wskazały dwie rany postrzałowe głowy. Pociski wyjęto z ciała zamordowanego. Nie znaleziono śladów, aby strzały oddano z przyłożenia, czyli strzelano z pewnej odległości.

Przed bramą wjazdową stało megane Marii, za bramą leżały reklamówki z artykułami spożywczymi. W ramach czynności śledczych w stercie drzewa poza domem znaleziono łuski oraz telefony komórkowe ofiar.

Nieco dalej, za garażem odkryto zwłoki kobiety. Maria również leżała twarzą do ziemi z kapturem płaszcza naciągniętym na głowę. Na prawej ręce kobiety odkryto dwie rany postrzałowe. Po lewej stronie klatki piersiowej znaleziono kolejną ranę wlotową. Jednak medyk sądowy za bezpośrednią przyczynę śmierci uznał ranę

rąbaną głowy zadaną siekierą, a także rozległą ranę klatki piersiowej powstałą w wyniku jeszcze jednego postrzału. Z ciała denatki wyjęto trzy pociski. Zostały one wystrzelone prawdopodobnie z pistoletu maszynowego CZ Skorpion wzór z 1961 roku produkowanego przez czechosłowackie zakłady zbrojeniowe w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Wszystkie pociski najprawdopodobniej zostały wystrzelone z tego samego rodzaju broni wyposażonej w tłumik. To raport balistyka z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Głównej Policji<sup>3</sup>.

Druciana siatka ogrodzeniowa na posesji była przecięta. W domu stwierdzono ślady włamania. Tylne drzwi były wyważone, w kuchni widoczne ślady plądrowania: na podłodze wałały się rzeczy wyrzucone z szafek, nawet z zamrażarki. Leżał tam też zmasakrowany jamnik należący do ofiar. Przyczyna śmierci: rozgnieciona czaszka i złamany kręgosłup.

Wstępna, przyjęta przez policję wersja zdarzeń mówiła o włamaniu, do którego miało dojść w nocy z 1 na 2 grudnia. Nieznani sprawcy mieli zabić psa, a następnie wkroczyć do domu i przez zaskoczenie zamordować właścicieli. Przyjmowanie wersji, które zostają obalone w miarę gromadzenia nowych informacji, to normalna praktyka, chociaż błędna wersja śledcza może później zaważyć na całym postępowaniu. W tym przypadku porzucone zakupy i samochód przed bramą szybko ją zweryfikowały.

Policja, nawet jej służby kryminalne nie zatrudniają samych intelektualnych gigantów, którzy z miejsca zbrodni od razu wyczytają cały jej przebieg. Mniejsze lub większe błędy, nieścisłości w raportach, wzajemnie wykluczające się wersje są czymś powszechnym. Wygląda się je dopiero później przy policyjnym lub prokuratorskim biurku albo nawet podczas procesu przy sędziowskim stole. Wtedy jest czas na drobiazgową analizę dowodów i odtwarzanie zdarzeń w kluczu ścisłej logiki. Początkowy etap to chaos, nad którym próbuje zapanować wiszący na telefonie szef grupy dochodzeniowej.

W Przeworsku użyto psa tropiącego, który doprowadził funkcjonariuszy do oddalonej o dwieście metrów od miejsca zbrodni polnej drogi dojazdowej. Tam zabezpieczono ślady bieżnika opon samochodu, którym sprawcy najpewniej oddalili się z miejsca zbrodni.

Wstępna wersja upada. Dwa miesiące później policyjna profilerka pisze już o sprawcach czekających na swoje ofiary na posesji.

Policja od początku próbuje powiązać zbrodnię z Ostrowa pod Przemyślem z zabójstwami pod Przeworskiem. Jednoznaczny motyw rabunkowy, użycie broni palnej, dziura w siatce i bezwzględne działanie sprawców, nakierowane na śmierć ofiar – to elementy, które je łączą. Jednak opinia specjalisty od broni palnej jest jednoznaczna. Użyte na miejscu zdarzeń łuski z pistoletów maszynowych Skorpion zostały odstrzelone

z odmiennych jednostek broni. Opinie innych specjalistów również nie pozwalają znaleźć przekonujących dowodów, że za sprawami stoją ci sami ludzie, choć *modus operandi* jest tak podobny. Na obu miejscach zbrodni nie udało się ujawnić linii papilarnych sprawców. W przypadku Przeworska świadków zdarzenia brak.

Pozostają tylko dywagacje policyjnego psychologa<sup>4</sup>. Mówią o ofiarach „wysokiego ryzyka” prowadzących interesy związane z przewożeniem znacznych ilości gotówki. Zarówno ofiary z Przeworska, jak i z Ostrowa nie miały profesjonalnej ochrony. Sprawcy zadbali o optymalne warunki do przeprowadzenia akcji. Wybrali odpowiednią porę roku, kiedy wcześniej robi się ciemno. Obydwa domy położone były na uboczu, co stwarzało możliwość bezpiecznego dostępu do nich bez narażenia się na kontakt z przypadkowymi świadkami. Wszystko wskazywało, że napastnicy doskonale znali zwyczaje zabitych. Oznacza to, że albo mieli dokładne informacje z bliskiego kręgu znajomych, albo zetknęli się z nimi bezpośrednio. Okoliczności zabójstwa świadczyły, że było co najmniej dwóch sprawców, którzy celowali w głowy ofiar. Wybór miejsca napadu wskazywał, na jakim terenie czują się pewnie i bezpiecznie. Mogli pochodzić z małych miejscowości, wsi otoczonych polami i lasami – stąd wybór takiej okolicy do ataku.

Profil sprawców sugerował ich możliwe miejsce zamieszkania. Według psychologa byli mobilni i nie

pochodzili raczej z okolic obydwu zdarzeń. Najpewniej przyjechali z daleka, o czym świadczyły ślady samochodu pozostawianego w pobliżu miejsc obydwu zdarzeń. Z tej dwójki jeden pełnił rolę przywódcy, a drugi wykazywał tendencję do poddawania się rozkazom. Sugestia, że chodzi o sprawnych fizycznie mężczyzn w wieku 30–35 lat, wynikała już z czystej statystyki i doświadczenia. Ciężkie zbrodnie typu kryminalnego z użyciem przemocy popełniają mężczyźni. Z kolei sposób ich przeprowadzenia, planowanie i wykonanie wskazywały, że policja ma do czynienia z kimś, kto popełnia tego typu czyn nie pierwszy raz.

Przywódca ma wykształcenie co najmniej średnie, jego iloraz inteligencji jest na przeciętnym poziomie. Odznacza się dużymi umiejętnościami planowania. Potrafi organizować działania i przewidywać ich konsekwencje. Ma świadomość znaczenia pozostawianych śladów. Do tego wysoka samoocena i wiara we własne możliwości, brak poczucia winy oraz odporność na stres. Zabijanie jest dla nich obu środkiem do osiągnięcia korzyści, śmierć dobrze wykonanym zadaniem. Strzelają, aby zabić, nie przestrzegają norm społecznych, mają swoje własne.

Jeden z nich jest bardzo dobrym strzelcem, sprawnie posługuje się bronią, mógł służyć w elitarnej jednostce wojskowej lub Legii Cudzoziemskiej. Wie, w jaką część ciała celować, by zabić kogoś na miejscu. Prawdopodobnie weszli już w konflikt z prawem, a przynajmniej

jeden z nich. Mogli popełniać przestępstwa związane ze stosowaniem przemocy, szczególnie jako nieletni.

Ta dość celna i bogata analiza została sporządzona przez nadkomisarz Sylwię Puchalik, specjalistkę zespołu psychologów KWP w Rzeszowie, 28 lutego 2007 roku, czyli miesiąc przed zatrzymaniem i aresztowaniem Tadeusza Grzesika. Uplłynęło jednak kolejnych dziesięć lat zanim powiązano go z tymi zbrodniami. W tym czasie dzięki zgromadzonym dowodom „wyrósł” on na największego w historii polskiej kryminalistyki zbrodniarza.

Odtworzone na dziedzińcu Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Rzeszowie miejsce zbrodni w Przeworsku zobaczyłem na własne oczy w drugiej połowie 2021 roku podczas zajęć praktycznych prowadzonych przez Alenę Myrdę, była naczelniczkę Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Rzeszowie. Porozkładane na trawniku manekiny imitowały zwłoki, studenci zabezpieczali miejsce zdarzenia. Alena Myrda opowiadała o bezwzględności sprawców, charakteryzowała ich sposób działania. Padły sformułowania „bezwzględni”, „działający jak maszyny”, „wszyscy musieli zginąć”.

Przed wywiadem telewizyjnym dla *Superwizjera* chwilę rozmawiałem z Myrdą, która powiedziała, że wszystkie informacje, jakie mogły pomóc w złapaniu grupy Tadeusza Grzesika, znajdowały się w aktach operacyjnych Wydziału Kryminalnego Komendy

Wojewódzkiej Policji w Kielcach. To ta komenda i jej funkcjonariusze „opiekowali” się Tadeuszem Grzesikiem, co najmniej kilkukrotnie obejmując go działaniami operacyjnymi. To właśnie w tajnych policyjnych aktach jednostki w Kielcach przez siedemnaście długich lat leżała notatka sporządzona przez oficera wskazującego właśnie Grzesika jako możliwego sprawcę trzech zabójstw w Cedzynie pod Kielcami.